

# Niech szczoną artyści

17 marca 2014

Od kilku lat ponad osiemdziesiąt procent dochodów czerpię z własnej twórczości: ze sprzedaży i użyczenia praw autorskich. Niestety, jeśli chcę – a chcę! – dalej robić to, co robię, a więc pisać, tłumaczyć, prowadzić wykłady i prelekcje, nie mam najmniejszej szansy na zatrudnienie na etacie.

## SEN O ZUS-IE

Nie chcę prowadzić żadnej działalności gospodarczej – chcę zarabiać dzięki własnemu umysłowi, a nie dzięki wyzyskiwaniu pracy innych. Dlatego z wielką nadzieją czekam na tzw. ozusowanie i obłożenie składką zdrowotną umów autorskich i umów o dzieło. Skończą się okresy, których długości trwania nigdy nie mogę przewidzieć, kiedy mogę tylko modlić się, żeby nie przydarzyła mi się choroba i rujnujące pełnopłatne leczenie. Na stare lata coś może sobie na tym zusowskim koncie uzbieram i nie będę musiał spędzać wszystkich długich emeryckich dni na pozyskiwaniu surowców wtórnych, lecz może tylko te robocze. Gdyby zupełnie zabrakło zamówień, będę mógł liczyć, przynajmniej przez moment, na jakiś zasiłek.

Gdyby udało się obłożyć składkami wszystkie takie umowy, system osłony socjalnej mógłby objąć stopniowo całą rzeszę ludzi, którzy teraz zupełnie jej nie mają. A im ten system byłby silniejszy, tym bardziej i ja bym z tego korzystał. Oczywiście, pracodawcy i przedsiębiorcy w naszym kraju przyzwyczaili się już, że całe ryzyko i wszelkie finansowe straty przerzucają na pracownika lub słabszego podwykonawcę. Ozusowanie śmieciówek będzie więc zapewne oznaczało, że kwoty przelewane przez pracodawców na moje konto nieco zmaleją. Jednak w skali globalnej, gwarantowane przez państwo bezpieczeństwo socjalne daje pracownikom silniejszą pozycję w negocjacjach z pracodawcą, co z kolei może doprowadzić do wzrostu wynagrodzeń. Ktoś, kto nie boi się, że w razie utraty

pracy znajdzie się po prostu na bruku bez środków do życia, ktoś, kto wie, że w razie choroby uzyska bezpłatną pomoc, a w razie wypadku odszkodowanie, może być w negocjacjach z pracodawcą bardziej hardy, odrzucać najgorsze czy poniżające propozycje pracy, znaleźć oddech na nieco dłuższe poszukiwania. To zresztą jedna z przyczyn, dla których wielu pracodawców woli płacić pracownikom więcej, ale zatrudniać ich na śmieciówkach, niż płacić mniej – i zatrudniać na umowę o pracę.

Tymczasem, jak widzę, trwają akcje pod hasłem „Nie dla nałożenia składek ZUS na artystów” (czy też twórców). Organizatorzy używają prostej arytmetyki: skoro składka ma wynosić około 20% wynagrodzenia, to tyle właśnie krwawy socjalistyczny reżim Tuska ukradnie artystom po to, żeby oni mieli mniej, a rząd więcej. Mówi się przy okazji takich akcji o tym, że artyści i ludzie żyjący z własnej twórczości mają w Polsce bardzo niskie dochody. Jako przyczynę tego wskazuje się pazerność państwa i gnębienie podatkami przedsiębiorców, którzy mogliby im zapewnić pracę. Czy rzeczywiście nędznej kondycji twórców w naszym kraju winna jest nadmierna ingerencja państwa?

## **TANIE DRANIE**

Coraz częściej – od lat – spotykam się, i spotykają się moi znajomi żyjący z pióra lub piórka, z sytuacjami, w których niska cena czy wręcz gotowość do darmowej pracy jest jedyną zaletą twórcy. Do – dajmy na to – grafika dzwoni szef firmy reklamowej, stały odbiorca jego pracy: „Mam chętnego, który zrobi to co ty, tylko o połowę taniej”. Grafika: „Ale ja to zrobię lepiej”. Odbiorca: „Nie potrzeba lepiej. Może być gorzej, „ludożerka” i tak nie widzi różnicy. Płacę połowę. Bierzesz?”. Oczywiście ten, kto zgodzi się na pracę za połowę stawki, będzie bez szans w starciu z tym, kto zgodzi się na połowę tej połowy – kto zrobi jeszcze gorzej, bez polotu i pomysłu, małpując ograne grepsy. Ale nikomu nie będzie to przeszkadzało. Bo dalekosiężnym skutkiem takich sytuacji jest

to, że „ludożerka” rzeczywiście coraz mniej widzi różnicę między porządnie a źle zaprojektowanym plakatem reklamowym. Między serialem telewizyjnym z dobrym scenariuszem i porządnie zagrany a takim, którego scenariusz „napisało samo życie”, a odegrali amatorzy płacni po 300 złotych za rolę. Między książką, którą napisał artysta, nad którą pracowali profesjonalni redaktorzy i korektorzy, a taką, którą popełnił nudzący się emeryt, a poprawiał bezpłatny stażysta.

Przyjmowanie przez twórców – jako własnej – perspektywy przedsiębiorców wyzyskujących ich pracę, zawsze obróci się przeciwko twórcom. Tym bardziej, jeśli mowa o polskich przedsiębiorcach, przekonanych o tym, że konkuruje się zawsze niską ceną, którą można uzyskać kosztem jakości, innowacyjności i dzięki wytresowaniu mało wymagającego odbiorcy. Ten model biznesowy sprawdził się w produkcji wędlin, których kilka kilogramów można uzyskać z jednego kilograma mięsa, a więc sprawdzi się także przy produkcji dóbr kultury. Będzie to tym łatwiejsze, że przy ocenie twórczości artystycznej nie da się zastosować obiektywnych, fizycznych miar. Im zaś gorszą produkcję kulturalną proponujemy – już od najmłodszych lat – człowiekowi, tym mniej będzie on wymagał od tych, którym za ich produkcję płaci.

Długotrwałe tresowanie mało wymagających odbiorców taniej w produkcji – choć niekoniecznie tanio sprzedawanej – twórczości kulturalnej już przynosi skutki. Przez wielu twórców przypisywane są one krwiożerczemu socjalistycznemu reżimowi Tuska, Kaczyńskiego lub Millera, który to reżim, poprzez nadmierną ekonomiczną ingerencję, powoduje uwiąd rynku i obniżenie stawek. Tymczasem dziś twórcy zarabiają tak mało m.in. dzięki swoim kolegom po fachu, którzy przez wiele lat, solidarnie z prywatnymi przedsiębiorcami, pracowali nad gustem rodaków. Psując go i sprowadzając do takiego właśnie poziomu, przy którym grafiką użytkową, literaturą popularną, projektowaniem przedmiotów codziennego użytku czy muzyką mogą zajmować się bezpłatni stażyści, a wizualną stronę miast czy

literacki poziom czasopism pozostawić można bezpłatnemu przypadkowi. Solidarnie z wielkim i mniejszym biznesem, który, owszem, jeszcze jakiś czas temu płacił sporo (a i teraz potrafi jeszcze sychnąć groszem swoim apologetom), twórcy spychali twórczość do domeny wolnego rynku, który i w tej dziedzinie miał wszystko znakomicie uregulować. I rzeczywiście, uregulował, wychowując przy okazji całe pokolenie odbiorców niewymagających, bo nieczytających, łykających wszystko, co zobaczą w telewizji, nie czujących się źle we wstrętnych miastach zapaskudzonych wytryskami młodych kreatywnych z agencji reklamowych. „Ludożerka” rzeczywiście nie widzi różnicy, więc po co przepłacać?

W takim kraju jak nasz, który sam sobie wyznaczył misję rezerwuaru taniej, nisko kwalifikowanej i niewymagającej siły roboczej dla drogiej, innowacyjnej Europy, biznes – wielki czy mały – nie ma żadnego interesu w tym, aby podnosić poziom artystycznych czy estetycznych aspiracji publiczności. Ma wręcz istotny interes w tym, żeby go obniżyć, żeby wychowywać publiczność, która za możliwie największe pieniądze kupi produkt możliwie najniższej jakości, wymagający minimalnych nakładów. Interes biznesu jest więc całkowicie sprzeczny z interesem twórców. Ci ostatni wolą jednak urządzać akcje w stylu „Nie dla nałożenia składek ZUS na artystów”, niż szukać takich rozwiązań, które pozwoliłyby im zarówno bronić własnych interesów (także w starciu z biznesem), jak i wpływać na wychowanie publiczności potrzebującej produktów artystycznych wysokiej jakości, innowacyjnych i niepowtarzalnych.

## **MILCZĄCY SOJUSZNIK**

Sojusznikiem twórców w działaniach na rzecz tak zdefiniowanego celu mogłoby być państwo. Mogłoby, gdyby twórcy zaczęli postrzegać ów byt nie jako potwora wysysającego ostatnie krople krwi z cherławego i wiecznie skrzywdzonego biznesu, i nie (jakoś jedno z drugim godzą) jako skąpcza, który śpi na bogactwach, a dotacji i stypendiów rozdawać na prawo i lewo nie chce, ale jako instytucję organizacji społecznej, powołaną

m.in. po to, aby wspomagać obywateli w walce o ich interesy. Gdyby twórcy zechcieli się organizować nie tylko po to, aby należeć do prestiżowych organizacji i od czasu do czasu mieć możliwość zabłyśnięcia nazwiskiem pod jakimś listem otwartym, ale także po to, aby bronić swoich interesów oraz domagać się aktywnej roli państwa we wspieraniu rozwoju i bytu własnej grupy zawodowej.

Nie, nie chodzi mi tu o wspieranie dotacjami (choć i one są czasem potrzebne) czy państwowymi pensjami. Chodzi mi o aktywny udział w takim kształtowaniu społecznych potrzeb, które będzie skutkowało popytem na twórczość, innowacyjność, piękno.

Weźmy choćby głośną dziś – i dziwnie kontrowersyjną – sprawę bezpłatnego podręcznika dla młodszych klas szkoły podstawowej. Wiemy tylko tyle – i z tego się cieszymy – że taki podręcznik powstanie, że przygotowują go najlepsi metodycy. A przecież podręcznik dla maluchów będzie kształtował nie tylko wiedzę przewidzianą programem nauczania, ale i artystyczny smak, przyzwyczajenia i potrzeby estetyczne. Sprawa jest zbyt poważna, żeby zostawić ją metodykom. Spójrzmy, jakie kaskady kiczu, złego gustu literackiego i plastycznego wylewają się z innych podręczników przygotowywanych właśnie przez metodyków (pod dyktando komercyjnych wydawnictw). Przecież tu powinno się ogłosić wielki ogólnopolski konkurs – niechby metodycy ustalili kryteria! – na który poeci mający doświadczenie w twórczości dla dzieci nadsyłałiby wierszyki, prozaicy opowiadania i czytanki (nie tylko z polskiego; dlaczego świetni pisarze nie mieliby tworzyć tekstów przyrodniczych czy zagadek matematycznych?), a dramaturdzy scenki do odegrania. Niech zilustrują taki podręcznik najwybitniejsi nasi malarze i graficy, nie zdemoralizowani w komercyjnych wydawnictwach czy agencjach reklamowych schlebianiem dziecięcemu brakowi estetycznego wyrobienia, pewni wartości własnych pomysłów, które od małego odbiorcy wymagać będą jakiegoś wysiłku, pewni własnego gustu. Niechby taki podręcznik miał przemyślane –

zaprojektowane przez najlepszych specjalistów – wizualne proporcje, kroje czcionki, elementy interaktywne, a nawet fakturę papieru.

Koszty takiego konkursu i stworzenia znakomitego artystycznego produktu nie podniosłyby jakoś specjalnie ogólnej sumy wydatkowanej na przedsięwzięcie (dzięki jego skali). I, podkreślam, nie to byłoby tutaj najważniejsze, że przy takim konkursie kilku czy kilkunastu artystów mogłoby sobie zarobić, choć to oczywiście też jest istotne. Chodziłoby o to, żeby państwo wzięło się poważnie za kształtowanie polskich gustów i potrzeb artystycznych już na etapie dzieciństwa. Byłaby to praca trudna, bo przecież trzeba by stoczyć wojnę z gigantyczną biznesowo-reklamową machiną, przyzwyczajającą już niemowlęta do kiczu i złego smaku. Jednak taka wojna jest konieczna, bo skutki oddania kulturalnej i estetycznej edukacji Polaków biznesowi widać gołym okiem już dziś.

Niech artyści projektują place zabaw, żłobki i przedszkola – od budynków, ogródków, przez meble, aż po zabawki. Niech na budynkach szkolnych powstają murale, a wewnątrz niech malarze zaprojektują kolory ścian. Dlaczego nie ma konkursów na lektury szkolne dla kolejnych klas podstawówki, gimnazjum czy liceum? Dlaczego sztuce i talerze w szkolnych stołówkach nie mogłyby być zaprojektowane przez znakomitych twórców, rozumiejących estetyczną chłonność młodych ludzi? (Oczywiście w kraju, w którym z premedytacją zarzyna się szkolne stołówki, bo trzeba dać zarobić droгим firmom cateringowym, brzmi to absurdalnie!)

Dlaczego w polskich urzędach państwowych – nie gabinetach ministrów, ale w biurach, do których przychodzą petenci, żeby załatwić jakąś sprawę – są takie brzydkie meble i takie nudne ściany? Przecież można by zlecić projekty krzeseł, biurek czy wieszaków na ubrania katedrom projektowania polskich uczelni artystycznych, a u młodych malarzy zamawiać niedrogie, ale porządnie namalowane obrazy.

Mamy przecież takie fantastyczne tradycje. Choćby z dwudziestolecia międzywojennego, kiedy wiecznie niedofinansowane i wydające każdy grosz na armię państwo polskie znajdowało jednak – wcale nie takie wielkie! – środki na zamawianie u wybitnych albo po prostu przyzwoitych artystów projektów gmachów – i wyposażenia – urzędów, szkół, szpitali czy dworców kolejowych, ale także transatlantyków czy pisemek dla dzieci.

Jestem pewien, że w takim, choć w części przyzwoicie wyglądającym kraju, w którym państwo szanuje, a nie tłamsi lub oddaje w dzierżawę biznesowi duchowe potrzeby obywateli, także od reklamy, kina, pism czy telewizji obywatele (a przynajmniej istotna ich część) zaczęliby wymagać czegoś więcej, niż tylko taniej w produkcji półamatorskiej papki. I że w takim kraju ozusowani w tę i z powrotem twórcy mieliby się o wiele lepiej, niż mają się dzisiaj. Jedno jest pewne – artyści przed obecną ciężką dla nich sytuacją uciekać powinni do przodu, ku jakiejś wizji, ku wzrostowi własnemu i tych, którzy z ich twórczością będą obcować, a nie tylko tych, którzy mogą na nich zarobić. Inaczej – dupy z nich, a nie artyści! Inaczej: niech sczezną!

Autor: Jarosław Górski

Źródło: [Nowy Obywatel](#)

## **O AUTORZE**

Jarosław Górski (ur. 1970) – polonista, nauczyciel i dziennikarz. Napisał kilkaset artykułów publicystycznych i popularyzujących różne dziedziny sztuki, wydał książkę eseistyczną „Męska rzecz” (o literackich obrazach męskości) oraz powieść obyczajową „Wersje”. Mieszka w Warszawie. Stały współpracownik „Nowego Obywatela”.